



# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140— Mk. z przes. 7400— Mk. Półrocznie 14800— Mk. Rocznie 29600— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

**Ceny ogłoszeń:** Od miejsca wiersza milimetrowego jedno-szpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy **600** Marek

Rok XX.

Kraków, 27 stycznia 1923.

Nr. 4.

## Drastyczny epizod walki z drożyzną



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

PRESC NUMERU: Drastyczny epizod walki z drożyzną — Walka z głodem mieszkań — Otwarcie szpitala OO. Bonifratrów — Zgon zasłużonego generała — Grób z przed 33 stuleci — Jeden z ostatnich — Pół wieku Międzynarodowego Związku Telegraficznego — Komunistyczni tyrani — Z żałobnej karty — Niagara z lotu ptaka — Żądania Francyi — Oficjalna fotografia „pary cesarskiej z Doorn” — „To, co najważniejsze” w teatrze lwowskim — i w. i.





Walka z głodem mieszkań: Nowe wille na ul. Łęczyckiej w Krakowie.

### Drastyczny epizod walki z drożyzną.

(Do ilustracji tytułowej).

Warszawskie dzienniki przynoszą następującą wiadomość:

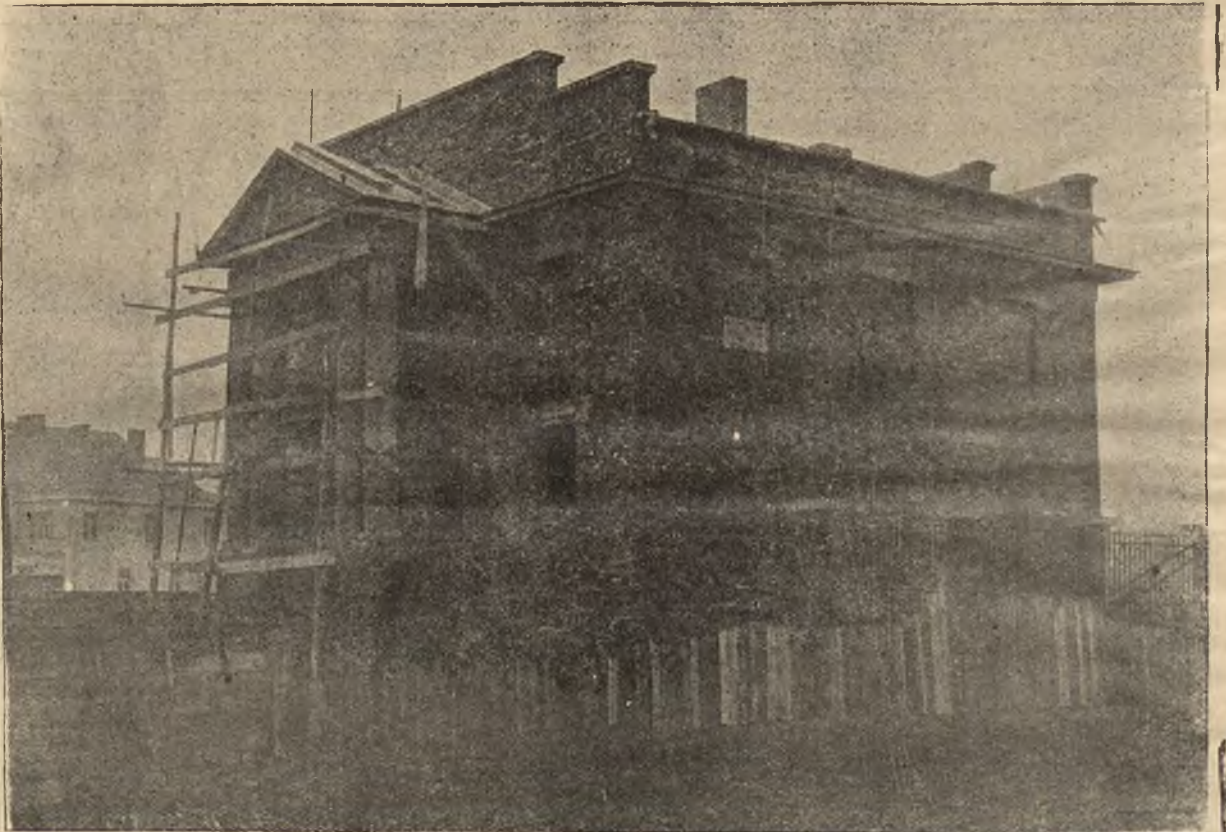
„Wczoraj na bydłym targu praskim jeden z hurtowników mięsnych domagał się ceny o 700 mk. na funcie wyższej od cen, żądanych przez innych hurtowników.

To wyprowadziło z cierpliwości rzeźników detalistów, którzy pochwycili owego ultra-paskarza, rozebrali go i ochłostali. Ceny mięsa wobec tego spadły“.

A więc — samosąd, nielegalny objaw sprawiedliwego i słusznego oburzenia na wampira paskarskiego, wysysającego ostatnie soki społeczeństwa.

Charakterystyczne, że ludność wyzyskiwana podwójnie i przez hurtowników i detalistów nie zdobyła się na ten — naganny w zasadzie — akt zniecierpliwienia, który w tak „dotkliwy“ sposób odbił się na skórze lichwiarza żywnościowego.

Inicyatywę aktu sprawiedliwości samorzutnej, stojącej zupełnie po za obrębem oficjalnej Justycji i ustaw — dali rzeźnicy, choć i oni mają pod tym względem wiele grzechów na sumieniu. W każdym razie w dosadny sposób napiętnowali zbrodnię lichwy żywnościowej, a ten drastyczny epizod walki z lichwą powinien pobudzić rząd i społeczeństwo do tem energiczniejszego tępienia lichwiarzy i paskarzy żywnościowych, zarówno wielkich, jak i małych.



Walka z głodem mieszkań: Jeden z nowowzniesionych domów u zbiegu ul. Łęczyckiej i ul. Kazimierza Wielkiego w Krakowie.



Walka z głodem mieszkań: Kolonia prowizorycznych domów drewnianych dla urzędników na placu przed Parkiem Krakowskim.

### Walka z głodem mieszkań.

Kłęska braku mieszkań jest jednym z najdotkliwszych utrapień współczesnego życia. Skutkiem olbrzymiego wzrostu drożyzny została zahamowana budowa domów czynszowych przez prywatnych kapitalistów, gdyż nie wytrzymuje kalkulacji. Niemniej w tym wypadku żadne półśrodki nie pomogą i tylko rozwinięcie ruchu budowlanego może usunąć dotychczasowe anormalne stosunki. Jest to naturalnie zależne od uporządkowania naszych stosunków gospodarczych, poprawy waluty i usunięcia drożyzny. Zanim to jednak nastąpi państwo i społeczeństwo choć w skromnych rozmiarach musi walczyć z głodem mieszkań, a na to jest tylko jeden skuteczny sposób: wznoszenie nowych budynków. W tym celu powstały już w różnych miejscowościach naszego państwa kooperatywy, którym rząd pospieszył z wydatną pomocą. Również i w Krakowie rozwija się, oparty na tych zasadach ruch budowlany. W ostatnich czasach powstał cały szereg nowych budynków (domów, willi i drewnianych baraków) na przestrzeni pomiędzy Aleją Słowackiego, Parkiem Krakowskim i Nową Wsią. W niniejszym numerze zamieszczamy fotografie kilku nowo wybudowanych domów w tej dzielnicy.

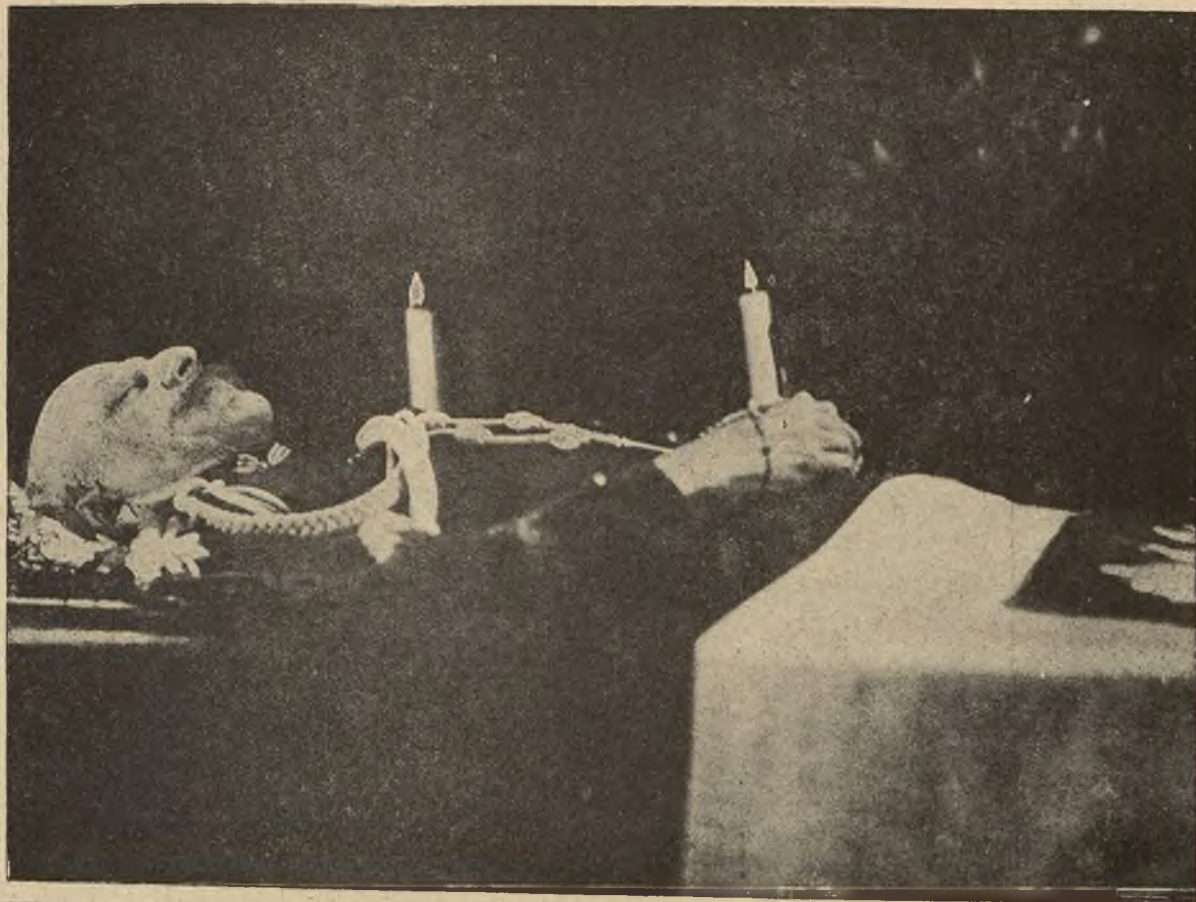


Otwarcie szpitala OO. Bonifratrów: O. Jacek Misiak, pierwszy po 140 latach prowincjał wkręszony po skłej prowincji Braci Miłosierdzia





Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: O. Kajetan Matysek, przeor Konwentu i dyrektor Szpitala OO. Bonifratrów w Krakowie



Zgon zasłużonego generała: Zwłoki śp. generała Zygałowicza w trumnie.

Por. Drozdowski, Toruń.

## Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów.

Dnia 17-go stycznia b. r. odbyło się uroczyste otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów w Krakowie (ul. Trynitarzka na Kazimierzu) po gruntownej restauracji budynku, który tego dnia nanowo poświęcił X. biskup Anatol Nowak, sufragan krakowski.

Szpital ten, obliczony na 200 chorych, wzniesiony został w latach 1898—1906 przez przeora Konwentu, należącego wówczas do prowincji czesko-austriackiej, O. Laetusa Bernartka. W sierpniu 1914 r. zajęła budynek szpitalny wojskowość austriacka, a od października 1918 do listopada 1921 wojskowość polska miała w nim także swój szpital.

Ojcowie Bonifratrzy otrzymali wreszcie z powrotem budynek szpitalny, lecz w stanie dewastacji, urągającym wszelkiemu opisowi. Zniszczone centralne ogrzewanie, kanalizacja i sale operacyjne, ani jednego okna całego, prawie wszystkie klamki mosiężne u drzwi poodrywane, dach na gmachu dziurawy itd. — oto słaby obraz zniszczenia, które należało naprawić oraz zakupić pościel, bieliznę i utensylia szpitalne, które znikły jak kamfora. W dodatku trzeba było przeprowadzić nadzwyczajną desyngfekcję wszystkich ubikacji, gdyż mieściły szpital epidemiczny z chorymi na dżumę, tyfus, cholera, oraz na wszystkie choroby zakaźne. Po ludzku rzeczy biorąc, sytuacja była bez



Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Dr. Michał Hładaj, operator i konsultant Szpitala OO. Bonifratrów.

wyjścia, bo na restaurację tak zniszczonego szpitala trzeba było posiadać bez mała 100 milionów marek. OO. Bonifratrzy zaś nie posiadają żadnego majątku, oprócz dwóch starych kamieniczek na Podgórzu, a nawet wojskowość nasza nie zapłaciła im dotąd przyznanego dalszego wynagrodzenia!

Ale znalazł się mąż, na którego barkach spoczęło dzieło restauracji szpitala, a który rąk nie opuścił. Jest nim Prowincja polskiej Prowincji zakonu Bonifratrów, O. Jacek Misiak. Korzystając z tego, że restauracja krakowskiego szpitala przeszła stuletnim letargu, umiał poruszyć dobroczynność publiczną i przy pomocy generała Zakonu oraz obficie płynących składek zabrał się w imię Boże do odnowienia zdewastowanego gmachu, które szczęśliwie w trzech czwartych do końca już doprowadził.

Sam budynek szpitalny nie stanowi jednak wszystkiego. Potrzeba przygotować dlań pielęgniarki i najlepszych opiekunów chorych, jakimi są zakonnicy. Z właściwą sobie energią i zapobiegliwością zabrał się O. Prowincjał do organizowania Prowincji, w skład której wchodzi obecnie Konwenty ze szpitalami: w Zebrzydowicach, Cieszynie, Bogucicach (Śląsk) i Marysinie (Poznańskie). I to dzieło, choć niezmiernie trudne z po-



Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Jedna z sal nowo otworzonego Szpitala OO. Bonifratrów



Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Dr. Bolesław Rzegociński, prymaryusz oddz. chirurgicz.





Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Dr. Stanisław Łapiński, prymaryusz oddz. chorób wewn.



Pół wieku Międzynarodowego Związku Telegraficznego: Pomnik dłuta G. Romagnoli, ofiarowany Szwajcaryi przez państwa, należące do Związku, odsłonięty w Bernie 16. grudnia 1922.

wodu szczupłej liczby Bonifratrów polskiej narodowości, udało się niestrudzonemu O. Prowincyałowi pomyślnie załatwić.

Obecnie na czele metropolitalnego Konwentu krakowskiego jako przeor, a zarazem na czele Szpitala, jako jego dyrektor stoi O. Kajetan Matysek, pochodzący z części Śląska przyznanej Niemcom, skąd musiał uchodzić, prześladowany za swą patriotyczną w duchu polskim działalność. Tak ważny postereunek, jak wychowanie młodzieży zakonnej w nowicyacie na wzorowych zakonników i dobrych Polaków, objął magister O. Eliaz Ulmann (Ślązak), mimo niemieckiego nazwiska, gorący polski patriota.

Służbę lekarską w Szpitalu spełniają z całym poświęceniem i gorliwością następujące wybitne, dobrze w naszym mieście znane siły: Dr. Michał Hładij, jako operator i konsultent szpitala, dr. Bolesław Rzegociński, jako prymaryusz oddz. chirurgicznego, dr. Stanisław Łapiński jako prymaryusz oddz. chorób wewnątrz., dr. Ludwik Motyka, jako sekundaryusz tegoż oddziału i dr. Ludwik Grabczak, jako prymaryusz oddz. dentystycznego i kierownik ambulatorium dentystycznego.

Wielka doniosłość Szpitala Bonifratrów dla Krakowa i jego okolicy, a także ambulatoryów w nim czynnych ocenić można przeglądając jego sprawozdanie z czasów przedwojennych. Te tysiące przedewszystkiem ubogich, których pielęgnowano bezpłatnie, i te dziesiątki tysięcy osób, korzystających z ambulatoryów świadczą o dobrodziejstwach tego Szpitala i jego potrzebie, szcze-



Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Dr. Ludwik Motyka, sekundaryusz oddz. chorób wewn.

gólniej z uwagi na straszne przepełnienie Szpitala św. Łazarza.

To też obowiązkiem jest społeczeństwa spieszyć krakowskim OO. Bonifratrom z pomocą, aby jak najprędzej mogli do reszty odrestaurować swój Szpital i postawić go na tej stopie, na jakiej stał przed sierpniem 1914. roku. Każdy grosz ofiarowany na ten cel przynosi nietylko ulgę ubogim chorym, ale także korzyść społeczeństwu, któremu Szpital zwraca w roku tylu zdatnych znów do pracy ludzi.

### Zgon zasłużonego generała.

W Toruniu zmarł s. p. jen. Zygałłowicz, dowódca VIII. okręgu korpusowego. Zmarły, jeden ze zdolniejszych generałów w armii austriackiej w czasie wojny, po przewrocie odegrał wybitną rolę przy organizowaniu młodej armii polskiej. Przez pewien czas był komendantem obozu warownego w Krakowie, następnie pełnił obowiązki służbowe w Warszawie, poczem został przeniesiony na ważną placówkę do Torunia, gdzie śmierć go zaskoczyła.

Zwłoki s. p. jen. Zygałłowicza złożono na wieczny spoczynek w Toruniu. Na cmentarzu, po odśpiewaniu egzekwii nad mogiłą zmarłego, imieniem Prezydenta Rzeczypospolitej przemawiał generał Serda-Teodorski, podkreślając zasługi zmarłego dla Ojczyzny podczas wojny oraz niestrudzoną jego pracę, jako kierownika wyższej szkoły wojskowej około stworzenia zbiorowego typu oficera polskiego. W imieniu korpusu VIII-go przemawiał dziekan ks. Sienkiewicz. Po spuszczeniu trumny do grobu, piechota i artyleria dały trzykrotną salwę honorową, orkiestra zaś odegrała hymn narodowy.

### Pół wieku Międzynarodowego Związku Telegraficznego.

Celem uczczenia pięćdziesiątej rocznicy założenia Międzynarodowego Związku Telegraficznego odsłonięto w Bernie szwajcarskim w dniu 16. grudnia ub. r. pomnik, ofiarowany Szwajcaryi, jako inicjatorce i siedzibie tej instytucji przez państwa należące do Związku. Półwiekowa rocznica założenia przypadła na r. 1915., z powodów wojennych została zatem na późniejszy czas odroczone. Związek obejmuje wszystkie państwa całego świata i reprezentuje około siedm milionów kilometrów telegrafu lądowego i sześćset tysięcy kilometrów kabli podmorskich.

W r. 1909. rozpisano międzynarodowy konkurs rzeźbiarski, na który nadesłano 92 projekty. Konkurs pozostał bez rezultatu, dopiero na następnym, w którym wzięło udział 106 architektów i rzeźbiarzy, przyznano nagrodę artyście rzeźbiarzowi włoskiemu, Giuseppe Romagnoli z Bolonii i projekt jego przyjęto do wykonania.

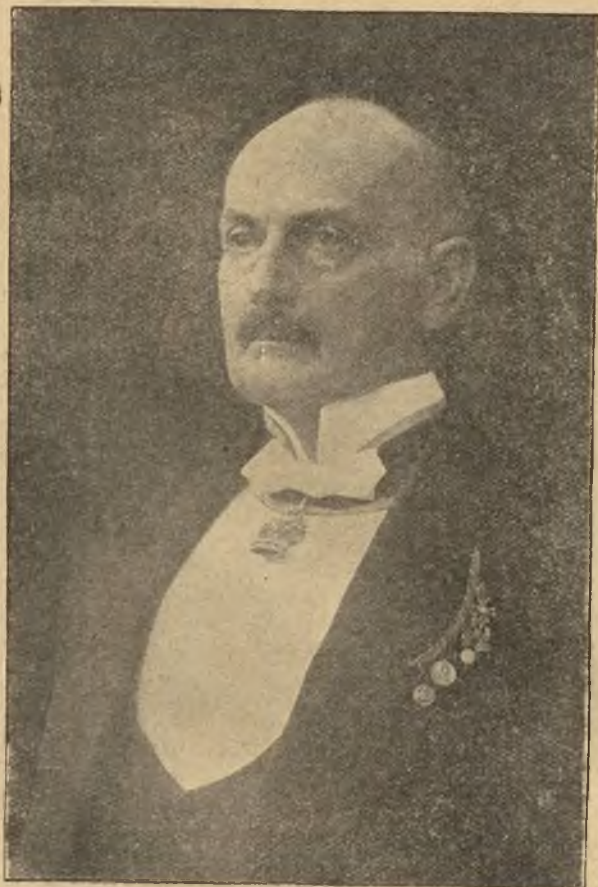
Pomnik, zbudowany z granitu i brązu, a przedstawiający się nader okazale, wznosi się w Bernie na placu *Helvetia* przed wejściem do Muzeum Historycznego.

### Z żałobnej karty.

Dnia 13 b. m. zmarł w Krakowie inż. Stanisław Kosiński, b. szef sekcji ministerstwa kolei żelaznych w Wiedniu, jeden z najwybitniejszych Polaków w dziedzinie kolejnictwa, przez szereg



Otwarcie Szpitala OO. Bonifratrów: Dr. Ludwik Grabczak, prymaryusz oddz. dentystycz.



Z żałobnej karty: Śp. inż. Stanisław Kosiński, b. szef sekcji ministerstwa kolei żelaznych w Wiedniu.



LOUIS LETANG.

**FATALNY TALIZMAN**

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

11)

— Bo tak trzeba. Zechcesz sam przyznać hrabio, że dochodzimy do pewnego, poważnego etapu naszego życia.

— Co nazywasz etapem, kochana przyjaciółko?

— Tę chwilę, w której dzięki pewnym zmianom charakteru, wiekowi i zewnętrznym okolicznościom — i w życiu ludzi konieczne zmiany zająć muszą.

— Czy już do tego doszliśmy naprawdę?

— Tak mi się zdaje. A więc skoro przyznać musisz, że rozirwonił się i stracił lekko-myślnie przeszłość naszą — teraz koniecznym jest, abyśmy poważniej trochę pomyśleli o naszej przyszłości.

— Więc o to ci chodzi? — zapytał pan de Valdeuse, nie przeczuwając jeszcze, do czego żona zmierza.

— Tak, to jest przyczyną mojej obecności tutaj.

— A więc musisz już mieć jakiś plan ułożony?

— Tak! mam.

— Jesteś fenomenalną kobietą, Julio! Poznałem cię po tem! Ale wolno mi wiedzieć, jaki jest ten plan, jaka jest jego głęboka psychologia?

Młoda kobieta zachnęła się niecierpliwie, urażona, że hrabia wymykał się przed jakąkolwiek poważniejszą rozmową i żartobliwie traktował jej słowa.

— Niema mowy na razie o psychologii — odpowiedziała sucho. — Chodzi o kwestye materialnej natury.

— Ah! tak?

— Był dzisiaj rano u mnie notaryusz markiza de Roche-grise i z rozmowy z nim dowiedziałam się, że spadek, jaki po nim pozostał, przewyższa nasze nadzieje.

— Doprawdy?

— Ojciec mój pozostawił przeszło dziesięć milionów gotówką.

— Co mówisz? — zawołał pan de Valdeuse, wstrząśnięty głęboko tą wiadomością. — Ależ markiz wiecznie narzekał, że biedny jest jak Job...

— A jednak oszczędzał i składał kapitały.

— Kochany człowiek. Podziwiam jego sposób bronięcia swojej fortuny. Wiesz, moja droga, tej sukcesy!

— O tem właśnie chciałam z tobą pomówić. Pierwszą moją myślą było, abyśmy połączyli nasze dochody i abyś od dzisiejszego dnia objął administracyę ich.

— Czy na serio to mówisz, Julio — zdziwił się hrabia.

— Oczywiście.

— Ale ty sama najgorzej wyjdiesz na tem.

— Mniejsza o to.

— Oh! przeciwnie, zanadto długo żyjemy w zupełnem rozłączeniu, aby...

— Chciałam ci właśnie wykazać, jak zgubna i niepotrzebna jest podobna sytuacja.

— Ah! więc o to chodziło? To był twój plan? Mogę ci tylko powinszować zdolności dyplomatycznych, moja kochana.

Pan de Valdeuse przerwał nagle, zdumiony nagłą zmianą, jaka zaszła w twarzy młodej kobiety.

Nie uśmiechała się już, nie panowała nad nerwami, które zmusiła do odegrania swobodnej komedii. Ciężkie łzy toczyły się z jej oczu, a poblask usta drgały wewnętrznym wzruszeniem.

— Oh! Henryku! — zawołała zrozpaczonym głosem — Ty nie kochałeś mnie nigdy!

— Proszę cię, moja droga — odpowiedział niechętnie hrabia — uspokój się i nie doprowadzaj do sceny, żalu i wymówek. Początek naszej rozmowy nie był wcale banalnym i zaczął mnie nawet interesować... Ale teraz widzę, że lepiej się stanie, jak zakończymy ją.

— Dobrze... kilka słów tylko. Nie wiem, jakim uczuciem powodowałaś się względem mnie, to jest twoja tajemnica, zachowaj ją. Co do mnie, kochałam cię szalenie. Miałam lat siedemnaście, ale serce moje i ciało nie były dojrzałe. Doznaliśmy obopólnych rozczarowań. I nasze pożycie niestety, zakończone zostało już po paru miesiącach.

— Cóż chcesz, moja droga! To była nie-szczęśliwa pomyłka.

— Nie skarzę się. Z przykrością widziałam, jak oddalałeś się coraz więcej odemnie i że z dniem każdym coraz większa otchłań rozdzielała nas. A jednakże, ja, Henryku, nie przestałam cię kochać ani na chwilę. Powiedz, czy mogłeś zwątpić o mojej miłości?

— Nigdy w nią nie wątpiłem — odpowiedział poważnie hrabia.

— A więc, Henryku, przychodzę teraz do ciebie, aby ci powiedzieć lojalnie i szczerze: Nic nieprzewidywanego nie stało się między nami. Były tylko nieporozumienia i źle zrozumiane uczucia, które czas utrwalił...

— Być może... trudniej je będzie teraz zmazać. Ale przy odrobinie dobrej woli... Czy nie zechcesz jej poświęcić trochę?

Mówiąc to, hrabina Julia już uśmiechała się przez łzy i pełnym uroku spojrzeniem badała męża.

— Ah! Julio! Jesteś naprawdę nieporównana. Co za myśl ubiegać się o własnego męża, kiedy...

— Chcę zaznać szczęścia, tak, jak inne kobiety! — zawołała młoda kobieta — przynajmniej jeszcze przez lat parę... póki czas jeszcze... chcę być kochaną przez ciebie, którego nigdy kochać nie przestałam...

Pomimo swojego cynizmu i nierozwagi, wzruszenie ogarnęło pana de Valdeuse.

— Ależ moja droga Julio... — wymówił zmieszany... — kocham cię również... wierz mi... i czułbym się szczęśliwym...

Ale już zapanował nad sobą i mówił dalej ze śmiechem:

— Nie, to paradne jednak... ciekawy byłby taki zwrot w małżeństwie — nieprawdaż? Jeżeli dojdziemy do porozumienia, skryjmy je przed naszymi znajomymi, bo narazilibyśmy się na śmieszność.

Hrabina Julia westchnęła zniechęcona. Jeszcze raz mogła się przekonać, jak lekkim i niepoczytalnym był charakter pana de Valdeuse. Uniesiona jednak ambicją — wysiłkiem woli postarała się wpaść w ten sam ton żartobliwy.

— Ludzie zajmują się tylko tem, czego zazdroszczą — uśmiechnęła się. — Niech mówią, z przyjemnością słuchać ich będę. Więcej już w tej sprawie mówić nie będę — dodała po pauzie. — Sądzę, że mnie dostatecznie rozumiałeś. Obiecany mam z twojej strony wysiłek dobrej woli. Dziękuję ci tymczasem i za to i wybac mi to nieprzewidywane najście.

Powstała wolno i wyciągnęła rękę do hrabiego.

— No, powiedz, nie masz do mnie żalu — zapytała kokieteryjnie, trzymając rękę męża w silnym, ciepłym uścisku swojej drobnej dłoni.

— Ależ nie... przeciwnie.

— Spojrz na mnie, Henryku. Nie budzę w tobie odrazy?

— Co za myśl! Jesteś uroczy!

— Naprawdę?

— Czy możesz wątpić o szczerości moich słów. Ubierasz się przytem tak kusząco.

— Jest to sztuka wielkich kokietek — jak powiada Michelet.

— Jaki, Julio, znasz tego autora?

— I wielu innych. Pocieszałam się nimi, spędzając samotne wieczory.

— Czy być może... Zagiębiam się w coraz silniejsze zdumienie.

— Wjdyż-że z niego... i przygotuj jaknajprędzej dobrą odpowiedź na moje propozycje. Do widzenia.

Hrabina raz jeszcze silnie uścisnęła rękę męża i szeleszcząc zwojami jedwabnych tkanin wyszła z gabinetu pozostawiając pana de Valdeuse w głębokiem zamyśleniu.

— Ależ to istna rewolucya — rzekł do siebie w chwilę później, po opanowaniu już pierwszego wrażenia. — Nie bybym spodziewał się tego po Julii... Jaka zmieniona, wesoła! Nie znałem jej nigdy takiej. A szkoda! szkoda! Al te kobiety, co za nieobliczalne z nich stworzenia!... Tak! tak! Ale o ile ta rozmowa pochlebić mi może, o tyle zagraża ona mojej ukochanej wolności. A tego nie chcę! Przynajmniej na teraz! Mam jeszcze czas powrócić skruszony na łono rodziny. Najlepszym zabezpieczeniem się przed urokiem mojej żony, jest momentalny wyjazd, inaczej mogę być zgubionym!

Pani Julia już przy obiedzie, który ich razem połączył wiedziała o zamiarach hrabiego. Nie okazała jednak swojego rozczarowania i uśmie-

chnięta wesoło zapytała jak najswobodniejszym głosem.

— Czy pomyślałeś już o powrocie swoim do Paryża?

— Tak, pomyślałem — odparł zdziwiony hrabia.

— I wolno wiedzieć, którego dnia wyjeżdżasz?

— Jutro rano — brzmiała sucha odpowiedź.

— Ah! już jutro!

— Niestety — tak być musi.

— Ucieka... więc się mnie lęka — pomyślała z pewną ulgą młoda kobieta. Zamaskowała jednak swoje myśli i nachylając się ku hrabiemu spojrzala mu w oczy prosząco.

— Byłabym ci bardzo wdzięczną, Henryku — wymówiła z przymileniem — gdybyś zechciał wyjazd ten opóźnić choćby o dzień jeden. Zrób to proszę cię.

Poczem zmieniła natychmiast przedmiot rozmowy, niechcąc panu de Valdeuse pozostawić za wiele czasu do rozmyślenia.

Tego samego dnia wieczorem hrabia wieczorną pocztą odebrał depeszę. Brzmiała ona w tych słowach.

— Po krótkim pobycie we wsi sąsiadującej z Besancon... wyjechali do Clermont Ferrat. Murzynka powraca do Paryża. — R H

— Co to znaczy znowu — zdumiał się pan de Valdeuse po przeczytaniu depeszy. — Czego oni tam szukają. Ho! ho! Sprawa się gmatwa i staje się coraz więcej interesującą... Ale prawda — Clermont nie jest stąd tak bardzo oddalone. Dlaczegoż więc mam się oddalać, skoro ona się zbliża do mnie? Hrabina będzie zadowolona — uśmiechnęła się po chwili. — Muszę tu pozostać, a ona będzie przekonana, że czynię to na jej prośbę.

Przez dzień następny, jak najlepsza pozorna harmonia panowała między małżonkami. Pan de Valdeuse stawał się uprzedzający grzeczny dla żony, ona zaś przyjmowała to jak najmiłszym uśmiechem i gorącym spojrzeniem, rozpromienionych oczu.

Trzeciego dnia nadeszła jeszcze jedna depesza.

— Wyjechali do Langeac — donosił lord Halley. Wydadź rozkaz moim ludziom, aby się jak najprędzej porozumieli ze mną.

Wiadomość ta napelniła radością hrabiego. Czarująca miss Eiva zbliżała się coraz więcej do niego. Już była prawie w Roche-grisse, bo przecież do Langeac było zaledwie ze zamku kilkanaście minut drogi.

— Ale, co to wszystko miało znaczyć?

Dlaczego młoda dziewczyna zjawiała się w tych stronach?

Wieczorem, przy kolacyi hrabia okazał tyle zadowolenia i humoru, że hrabina coraz bardziej rozkochanemi oczyma zaczęła tonąć w jego twarzy, uszczęśliwiona, dumna, że w tak krótkim czasie zdołała na nowo rozplomić serce niewiernego męża.

— Jesteś bardzo dobrym i wspaniałomyślnym, Henryku — szepnęła, kiedy rozchodzili się do swoich pokoi. — Ale nie chcę nadużywać cię więcej... Kiedy masz zamiar wyjechać?

— Wypędzasz mnie? — zapytał hrabia ze sztucznym smutkiem w głosie.

— Oh! nie!

— A więc pozostanę jeszcze tu dni kilka, aż mnie interesy jakieś ważne nie zmuszą do wyjazdu.

— Ah! Czy być może... Chcesz jeszcze pozostać... Ale... Henryku... czy ty się już zastanowiłeś — postanowiłeś coś... Wiesz o czem mówię... moja propozycja... — szeptała ze wzruszeniem hrabina, patrząc pytająco na męża.

— Nie! jeszcze nie — odparł zimno pan de Valdeuse, niemile dotknięty tem przypomnieniem. — Pomówimy o tem w Paryżu.

— Tak, masz słusność — potwierdziła żywo młoda kobieta, niechcąc mu się w niczem sprzeciwiać.

Półna już była godzina, kiedy służący oznajmił panu de Valdeuse, że dwóch panów pragnie się z nim widzieć.

Byli to detektywi lorda Randolfa, Brood i Piller. Hrabia wyszedł na ich spotkanie do zwykłej sali, gdzie przyjmował zwykle interesantów.

— Panowie przysłani są do mnie przez lorda Halley'a — rzekł wchodząc. — Zechcą panowie iść ze mną, tam, gdzie panów zaprowadzę będzie swobodniej i... bezpieczniej.



PAWEŁ STAŚKO.

# JEDNA GODZINA

1.

Redaktor Goleń wracał z teatru. Zwykłą koleją rzeczy pospieszał skrzętnie do redakcji, by jeszcze przed północą oddać mentrampażowi recenzję z odegranej premiery do porannego numeru. Szedł, układając w myśli wyroczone zdania o sztuce, zaletach jej i wadach, o grze aktorskiej, a wreszcie dekoracjach.

Szło mu to szybko i bez trudu, szkic na feljeton o 128 wierszach miał już prawie gotowy, pracując bowiem przez lat dwadzieścia cztery w tym głównie dziale zdobył niezwykłą łatwość pióra i odpowiednią rutynę, rutynę za trzy kwartały — jubileuszową.

A szło mu to tem łatwiej, że zdań nie musiał tworzyć świeżo, miał ich wystarczający zapas w swoim spichlerzu, zdań, co już nie jedną przeszły próbę, nie jedno wyśpiewały zwycięstwo, pochwalny hymn, albo sromotną klęskę; miał zapas słów i określeń, erudycyjnych porównań, zwrotów, nawet idei. Wystarczyło tylko otworzyć drzwi naościel i zajrzeć w głąb jak do teatralnej rekwizytorni, by w jednej chwili wiedzieć, co czemu mniej więcej odpowiada.

Zresztą w dzisiejszym potopie scenicznych sztuk co kto nowego mógł napisać? Wszystko to już po stokroć razy napisano, skrytykowano, przelicowano, ubrano w finezyjny plagiat, przechrzczono, odgrzano w tyglu i po raz setny pokazano w odprasowanej szacie.

Tak zawsze myślał redaktor Goleń, nie bez ufności w swoje krytyczne stanowisko, zapominając, że i on również się powtarza, z tym większym chyba nonsensem, że bez twórczego wysiłku. A jednak trzeba widocznie było coś pisać, pluć w owym kieracie, jak gdyby życie opierało się na tym właśnie nonsense i wymagało tego koniecznie.

Alisć nad tem redaktor Goleń nie zastanawiał się poważnie. Uważał, że praca jego to redaktorski „zawód”, jak wszystkie inne wkręcony w tryby życia, idący z pokoleń w pokolenia, poprosi jakiś nałóg dający duszy rozrywkę, a ciału chleb. Niekiedy jednak miewał znacznie górniejsze pojęcie o swoim stanowisku. Mienił się poniekąd za męża, który hełman! sztuce, wytycza jej kierunek i jest jak gdyby drogowym szewcem. Nic w tem dziwnego, wszak nawet szewc czy kuśnierz okrywa swe rzemiosło w szacie wyniosłej dumy w tem świętem przekonaniu, że gdyby nie on, to — cała ludzkość chodziłaby bez futer, albo bosy. Jest w tem pojęciu niezaprzeczone racja i objaw niepróżnającej przecież myśli.

Goleń znalazłszy się przy redakcyjnym biurku, starem i poplamionem atramentem, z grudkami zastygłej stearyny, laku i kleju na przypuszczalnie zielonem suknie, zabrał się mechanicznie do niecierpiącej zwłoki pracy. Przy innych biurkach i stolikach, o takiej samej redakcyjnej patynie, nie było już nikogo. W sali było względnie spokojnie, tylko gdzieś w dole, gdzie znajdowała się drukarnia, pracowały rotacyjne maszyny, przyprawiając mury w głuche drzenie i czyniąc tępy szum w powietrzu, przepelnionem ciężkim zapachem drukarskiego czernidła.

Redaktor pisał, nie wypuszczając z ust papierosa, osadzonego w długiej wiśniowej cygarniczce. Co chwilkę tylko przysławał, wciągając w płuca haust dymu i porządkując cisnące się pod pióro zdania. Raz tylko powstał z miejsca, podszedł do szafy mieszczącej w sobie zastęp potężnych tomów leksikonu, przeszukał w którymś, jak alchemik, poczem wsunawszy go z powrotem wrócił do biurka.

Praca szła dalej w szybkim tempie. W niecałe trzy kwadranse sprawozdanie z teatru było gotowe. Tyle a tyle wierszy o sztuce i autorskiej zdolności, w tem kilka uwag i porównań, tyle przejściowych wierszy do gry aktorskiej, wiedział kogo należy podnieść, kogo z lekka napomnieć i pouczyć, którą aktorkę ubrać w kwiaty i wyszukaną toaletę, o kim wspomnieć z nadzieją czy przekąsem, poczem następowała mniej więcej określona ilość wierszy pod adresem reżysera, dekoracji, a wreszcie kierownictwa teatru i publiczności i — jakby cyrklem odmierzył wyznaczone na ten cel miejsce. Ostatni wiersz stanowił podpis recenzenta. Pod sprawozdaniem

z premiery redaktor Goleń podpisywał się pełnem nazwiskiem, przy komunikatach zaś i mniejszych wzmiankach używał kryptonimu, jak: P. (Prot) G., p. g., G., zależnie od nastroju, choć to na jedno wychodziło; nazwisko bowiem, czy początkowe litery były dla czytelników dostatecznie już znane.

Po skończonej czynności redaktor zadzwonił do drukarni i oddawszy rękopis począł przechadzać się po sali, jak człowiek który wykonał obowiązki i zażywa wewnętrznego spokoju.

Po chwili otworzył okno na ulicę i spoglądał na niebo: było dziwnie błękitne i wyskrzzone gwiazdami, kwiećniowe.

Przez jakiś czas patrzył się w górę i coś, jakby tęsknota czy rozczulenie, śladło na jego szczupłym, z wyrazem wycieńczenia obliczu. Ściągnął ku oczom nadmiernie krzaczaste brwi, że niemal nakrył niemi potwornie grube szkła okularów, sięgając, widać, myślą i w te rozpostarte przestrzenie gwiazdzistych niebios.

Z ulic dochodziły coraz już rzadsze turkoty kół dorożkarskich i jakby lekkie, przedzierzgające się przez dymny opar miasta — tchnienia wiosennej nocy.

Siabłutki one były, niczem kwiatuszki wychylające się z pod śniegu, zrodzone z pąków śródmiejskich drzew, które zbudziło słońce, jednak niewymownie wnikliwie i odczute z powietrza, wieszczące cicho a wielmożnie, że — idzie wiosna...

Szły one, zda się, z góry i kędyś zdale — od wiejskich pól, rozdziły się wśród murów, podwórzy z krzewami bżów i jaśminów, na balkonach kamienic obramowanych podłużnymi, malowanymi na zielono pączkami z wleżą pod ziarnka ziemią, szły zewsząd, niby radosny zew obudzonego życia, co się ocknęło w słońcu, przedarło się poprzez grudną powłokę, idąc ku ciepłym blaskom — stęsknione, zasobne w świeże moce, gotujące się do branki wszechistnienia na wielkie promiennie-kwiećne Święto...

Iścił się w przyrodzie prawieczny cud odrodzin, wielki, jak jego tajemnica i jako ona dobrośliwy.

— Ano, mamy już wiosnę — szepnął redaktor sam do siebie, pijąc nocne powietrze. I naraż, jak gdyby uczuł skłonność do myśli, co się czeplają barw wiosennych niby motyle... Podszedł ten, niewiedzieć skąd zrodzony, począł go skłaniać ku tym tchnieniom — by skroś nie płynąć tęskliwym duchem kędyś za miasto, w szerokie pola i łąki, które oblewał dziewiczy uśmiech trawek i pękających kwieci, co już poczęcie śniły szczęścia, ulewnej woni i słonecznianych pieśni...

Czuł, że tam kędyś za murami siwarza się nowa doba, że pachnie świeżo zaorana ziemia i ruch się wszczyna niepojęty... Że w sercu ziarn i bylinowych klączy coś się odbywa potajemnie, wsiając z atomów i opylków i dźwiga się do życia... Że głos się jakiś niesie światem i nawołuje i obudza... wciąż, coraz przestrzennie i owocniej, coraz potężniej...

Atoli jak gdyby dusza jego za tępa była, by móc się wnurzyć w oną zjawę, jakby za gruba warstwa miejskiego pyłu okryła ją i znieczuliła na ten pajęczy dotyk tchnień idących — bowiem otrząsnął się copperszej z chwilowego wrażenia i zostawiając otwarte okno, powrócił znów do biurka.

Stojąc, brał po kolei nagromadzone świeże dzienniki, przeglądał je pobieżnie, co chwila zakreślał czerwonym ołówkiem jakaś złowioną wieść czy artykuł i, nim dobiegła północ, materiały do pracy na dzień następny miał już prawie gotowy i przyłożony ciężarem szeroko rozkraczonych nożyc.

Po tej czynności zwrócił się jeszcze w stronę okna, całkiem bezwiednie, pchnięty jakowaś podświadomą siłą, jakby pierwotne tchnienie pozostało na jego zakurzonej duszy magnetyczny bakcyl o niezmożonej mocy, poczem leniwie, jak człek znużony wielce, gotował się do wyjścia.

Przekroczywszy schody dwóch pięter, wydołował się z zaduchu na ulicę spocony i ledwie mogąc tchu złapać. Znów uderzyła na niego ta cicha i bbsamiczna fala, lecz już nie myślał skąd się niesie. Prosto, starym zwyczajem, skierował kroki swe ku kawiarni. Miał ją tuż prawie obok. Wszedł do zadymionej i pełnej gwaru sali, kłaniając się i odpowiadając na ukłony, częściej dość zimno, kilkakrotnie łaskawie, niby potentat jakiś, wreszcie dołarł wolniutko do opróżnionego stolika i usiadł przy nim, zabierając się do oczyszczenia irchową skórką zamglonych okularów. I tu spotkało go jeszcze wiele ukło-

nów od pobliskiego stolika, otoczonego wieńcem przez najliczniejsze, mieszanej płci towarzysztwo. Redaktor odpowiedział kilkakrotnem skinieniem głowy, lustrując w jednej chwili wszystkich siedzących. W odkłonach tych, o niejednakim kącie pochyleń głowy, była niema odpowiedź na zapytania tamtych oczu, co się zwracały ku Goleniowi, jak na wyrocznie.

Była to aktorska socyeta i wykonawcy dziejszej premiery. Ludzie ci, przeważnie młodzi, niektórzy przedwcześnie lysiejący, bywali tu stałymi gośćmi o różnej porze dnia, zaś „po teatrze” zjawiali się in gremio w swoim dość kruchym zespolonym cerclu. Trójkątem życiowych ich wędrówek były: kawiarnia, teatr i ostatecznie — dom, gdy nadchodziła spóźniona pora i zamykano ostatnie nocne lokale. Kawiarnia była ich stołem do śniadań (obiady jadał w pierwszorzędnym restauracyach, zależnie od terminu pobierania gaży) wieczerzy, a często nawet tu się uczono ról. Czarną kawę, tę ukochaną truciznę wszechartystów, pili przy każdej sposobności, czy to siedząc beczynnie, czy przeszukując skrzętnie teatralne opinie miejscowej prasy. Te poza oklaskami i czarną kawą były jedyną ich podniętą, celem i — wszystkim. Dzielili się na wielkich, gwiazdy, ludzi talentu, doskonałych rzemieślników i nieokreślone miernoty. „Wielcy” zazwyczaj chadzali ludzmi, niby bogowie, pomniejsi zaś grupowali się według swych szczebli w stadka. Kawiarnia wreszcie była dla nich rodzajem schadzki, miejscem, gdzie obmawiano drugich i siebie, wiedziono spory za kulisami rozpoczęte i gdzie, poza sceną teatru, „schodzili między ludzi” i swoich wielbicieli. Lekkoduszna cyganerya i brać przemila — aktorzy...

Redaktor Goleń, posiliwszy swe ciało kawiarnianą porcją angielskiego rozbehu, zapijał również czarną kawą. Pałac wyborczego papierosa delectował się dymem, przyczem rzucał po sali obojętne spojrzenia. Najczęściej jednak kierował oczy na aktorki, młode, szykowne, wydekoltowane, jak Galatce, śmiałe jak pliszki, na których jeszcze „ciężki zawód” nie siadł uwładem, co jeszcze nie zmiał ich kształtów i spić nie zdołał tych rumieńców, jakie wyniosły z swoich domów. Choć już je szminka wyplerała i karmin krwawił usta — patrzył się w twarze o dużych łukach brwi, które barwiczka nadmiernie przyczerniła, choć pewnie były bujne i miękkie jak aksamit — nic prócz sztuczności im nie dając i podejrzanym ponęć.

Niektóre, zda się, miały jeszcze na sobie ślady małych pocatunków, inne odmienne, miłosną żądzą wypalone, słoneczną wiarą w życie i piękne niby kwiat, nim go szejoga nie dosięgnie — jeśli nie ujdzie różnym nurtom, choć już je blask opylli i przeszły pierwszą, kolejną w życiu próbę.

Czasem to ta, to owa z cór Melpomeny czy Thalii rzuciła ku Goleniowi wymowne oczy, w których paliły się i prośba i napół skryty błysk wyzwania, coś, coby pragnęło mieć w nim piewę, jeśli nie za cenę talentu, to uśmiechu... to za ofiarę chociażby — flirtu, wreszcie miłości sezonowej — byle tylko nie zbywał jej wzmiankami, lecz pisał o niej hymny, mienił ją gwiazdą — przepłynawszy jednakże po jego twarzy i postaci szczupłej, wyblakłej i bez tężyzny życia, cofała je z dreszczem bojaźni i niesmaku, z podszeptem w duchu, że za daleko pobiegła jej zaślepiona myśl i że pokusa ta bez istotnego blasku i powabu.

A jednak co jakiś czas wracały z siebie one oczy, płocze i niezdecydowane, niby zwierciadła wewnętrznych rozpatrywań, głodne chimery-sławy, podpatrywały tajemnie jego kościste lico, zryte zmarszczkami, to ręce o dziwnie wyrazistych żyłach, jak ciemne sznurki, wmiawiały w siebie jakoweś chytre przekonania, młodość się wdając weń wprowadzać, bez wiary wprawdzie, lecz naślepo, pod wpływem jakichś władnych pobudek — i te nareszcie przytłumiał oddech czci osobistej, gwałtowna niechęć i jakby lęk tajemny.

Po każdej takiej wędrówce zdały się chwilowo zapominać o blaskach sławy i pokusie, czuć się wolniejsze, jaśniejsze w swoim gronie, gonić po sali raz dumnie to zaczepnie, śmiejąc i ponętnie, po kobiecemu. Świat się uśmiechał do nich i wabił na swój sposób, stary, nie szczedząc złudy i podniety, niefrasobliwy — gdzie zawiedzie —

Goleń znał już takie rozdrożne oczy, rozumiał ich rozterkę, te błyskotliwe race, i — bolał. Bolał nie nad ich walką koszarową, podobną



błędnym gwiazdom albo łącznym ognikom, ale nad swoim życiem, co tak szybko wyzbyło się swych łączy, wchodząc w granice strupieszalej martwoży i bezowocnych pragnień.

Patrząc w te młode podniecone postacie, wspominał urywkowo — kiedy przeżywał swoją młodość, wśród takich właśnie narkotycznych rusałek, porwanych wirem w kraje uludy. Że jak szaleniec Ignął ustami do onych kwiatów oszłomnych, niepomyślny świata i dróg innych, tą jedną żądzą pochłonięty — zmysłowych uciech. Jak gdyby celem żywota jego było ich ciało, uściski i omdlałość, a często wyzysk tyraniczny... Zwyciężał władzą swego pióra, walczył, póki nie zdobył swej ofiary, wciąż nienasytny i zgłodniały, pewny swej broni niezawodnej. Teatr uważał nie za przybytek Sztuki, ale arenę łowów, gdzie nieci się pokusa i gdzie namiętność czerpie ogień. Rzetelność jego stanowiska, a choćby wreszcie górniejsza miłość — były poza nawiasem jego dążeń; szal zmysłów zabił obydwie i wyplenil.

I wszystko przeszło, ubiegło kędyś w dal, pozostawiając na dnie duszy wygasły żwir popiołu. Wprawdzie wegetowało jeszcze ciało, lecz bez krwi zda się i bez istoty życia.

Jak nieogłębny patnik wyczerpał podróżnicze sakwy wcześniej, zanim do celu doszedł. A czy miał w życiu jaki cel, jaką wytyczną drogę? Co stworzył i pozostawił poza sobą? Może może niejedną łzę, cudzą, zawodną, może przekleństwo? Służył nie sztuce i społeczeństwu, lecz tylko zmysłom, sam sobie.

Redaktor Golefi wstrząsnął się niecierpliwie. Przelotne te podszepty aż go dotknęły zimną nagością swojej prawdy. Coraz częściej napadały go takie drażliwe myśli, odkąd zwrócił uwagę, że dobiega ćwierćwiecze jego dziennikarskiej pracy... Zwykle jakiś dojrzały powab życia nasuwał mu wspomnienia i wyrzuły, jak dziś te niespokojne oczy.

Dziwnie obleśnie wodził oczyma po sali, pełnej dymnych obłoków, to znów na jakiś czas zatrzymywał je na jednej wyróżnionej aktorce, swojej pupilce.

W obecnej fazie wystarczał mu już uśmiech łasicowe ruchy, przy słowach ichtających jakąś podniosłą upalnością, jakimi często go darzyła. Żył w nim jeszcze jakiś zapomniany korzonek podtrzymujący czucie, że gdyby nie te zgorzałe lata i nie ta pusika w sercu — kochałby ją żarliwie. Czyby ta miłość była taka, jak wszystkie tamte, nie zastanawiał się poważniej, przypuszczał tylko z uwagą doświadczonego znawcy, że jej siałowo-jasne oczy i nieco smagle ciało, giętkie jak u pantery albo węży, musi mieć w sobie niewyczerpane moce zawrotnych pieśczoł i wulkaniczne ognie, z trudem, jak sadził, dające się okiełznać i opanować przed szaleństwem.

Miał ją w żywej pamięci z kilku teatralnych występów i to dawało mu pojęcie — jak rozporządza sobą jej namiętność... Była w zupełnym typie jego kobiet o mocnych, rafinowanych haszyskach swojego ciała, z którego zda się wiała dzikość i nieposkromione żądze.

Wiedział, że ją za późno spotkał na swej drodze, że te kuszące i linezyjne przymilenia to — chytra jej przebiegłość, która w innych warunkach sama by sobie była siecią — lubił się jednak patrzeć na jej syrenią postać, słuchać jej głosu i trwać w tej dziwnej złudzie.

Szczególnie dzisiaj wydala mu się czarowniejszą i on jakby się młodszym uczuł. Widać wiosenne ichtnienie, odczuwane w redakcyjnym oknie, zbudziło z martwych jakąś komórkę jego serca i powołało ją do życia. Jak nigdy jeszcze dotąd, doznał wrażenia — że jest przeżytkiem i życie już po za nim. Że już wiosenne fale nie budzą w nim tęsknoty, — złotej, jak to bywało ongiś, w chłopięcym wieku, nie tej — szalonej, jak w pierwszych latach kariery, ale że niosą żal potworny i zamiast kwiatów — widma. Że wszystko zrywa pęd ku słońcu, jakowaś radość bezgraniczna, — płaciwko sposobi nowe gniazda i wije hymny życiu, wszystko zaczyna nowy żywot, od trawek aż do dębów, od mrówki do człowieka, wszystko powstaje na czyn nowy, jedynie oprócz — niego.

I znów go naszedł rój wyrzutów i to ćwierćwiecze napasliwie. Każde żyjątko daje coś wzmiąć w życie, a on co dał, czego dokonał? — Pisał? Właściwie kłamał i lawirował, jak wyćwiczony pływak, resztę spełniały zaś nożyce...

Cwierćwiecze... Co za ogromny czas! Zbliża się jubileusz... Będą mu składać hołdy, uznania

w dowód zasług, będą mu kłamać — jak on drugim, z próżności, dla zwyczaju, jakby tak być musiało... Poople like to be humbuged! — jakby to było prawdą i maksymą. Jednak potrzeba było coś uczynić, choć źdźbło złamane wyprostować — czuł, że potrzeba było... A on — nic — nic — przeciwnie, może nie jedno zniszczył życie przez swoje kłamstwo i egoizm.

Szły mu te szepty gdzieś w głąb duszy, lecz ani je odpędzał, ani rozważał z większą skruchą. Były jak strzępy spadające na jego skrzeple i sumienia, nieliczne jeszcze by móc je odgrzać i poruszyć. Zrodziły tylko jakiś dziwnie gorzki uśmiech na jego woskowej twarzy i z tym uśmiechem patrzył na swoją divę.

Kupowała właśnie od nieletniej, w biednym odzieniu kwiecistki, wiązkę tarniny osypaną kwieciami jak śnieg białym, i bukietik fiołków. Przez jakąś chwilę raczyła się ich wonią, w którą zakłęta wiosna pierwszą swą świeżość niemożliwą, to przytulała do nich usta z wyrazem kokieteryjnej pieśczoły i upojenia, mając prawie przymknięte oczy — tak, jak je zamyka kobieta, gdy widzi usta kochanka pochylające się nad nią, poczem, niby z grymasem czy troskliwością — zatknęła je za bluzkę.

Uczyniła to z takim przepysznym wdziękiem i łącnie ruszającą pokusą, że spełzły oczy redaktora roznieciły się nagle niepokojącym ogniem.

Olśniony widz szepnął przez zęby jakieś zachwytnie słowo czując, że serce raźniej bić mu poczyna i płuca coś rozdyma. Za krótko jednak trwała ta czarodziejska chwila, aby móc głębiej wkraść się w jego uczucie, wreszcie i podziwiana donna, za przykładem sąsiadów i sąsiadek, powstała z krzesła z zamiarem opuszczenia kawiarni.

Z widocznym żalem, że odchodzi, obserwował Golefi jeszcze jej ruchy i moment ubierania płaszczka, konstatając po raz zapewne już tysiączny, że jest bajecznie wyrzeźbiona.

I znów uklony i pożegnania do następnego wieczoru, krzyżujące się spojrzenia i chybotące w mgielnym dymie groty zaczepki i próśb tajnych.

Najbardziej śmiała pupilka, mijając stolik redaktora, rzuciła mu na ręce bukiet tarniny i w lekkim pochyleniu w jego stronę dodała szepciem:

— Niechaj się panu przyśni wiosna — — dobranoc!

Zawionęła go fala silnych perfum.

— Dziękuję pani, — wzajemnie! — odrzekł pospiesznie, mile zaczepką zaskoczony i pobiegł wzrokiem za idącą. Jeszcze przesłała mu spojrzenie od drzwi weneckich i dojrzał jeszcze ostatnie ruchy nóg, które, w jego pojęciu — wykradły kształty i harmonijność niebiańskiej Wenus.

Redaktor Golefi wpatrzył się teraz w marmurowy blat stolika, podumał nad czemś chwilę, w kofcu zwrócił uwagę na kwieciną okiść tarniny. Zdziwił się przytem wielce, jak tak mała gałązka była w możności wydać takie bogactwo kwiatów.

— Ileby tu owadów znalazło nektar i ile tarek dałaby ta gałązka... — podsunęła mu kontemplacyjna myśl. — A tak, stała się strata w przyrodzie...

Pierwszy raz Golefi odczuł barbarzyństwo zrywania kwitnących krzewów gwoźli próżnej uciechy. Zrobiło mu się dziwnie żal tej tarniny, że jej skrócono żywot, nie pozwalając na wypełnienie przeznaczonej jej roli. On, co nie myślał nigdy o takich sprawach, co był im obcy i daleki, on dziś to dostrzegł i potępił bezmyślną zbrodnię... Potępił, mimo choć tę gałązkę dała mu ona, podobna bóstwu wiosennemu — dała na sen o wiosnie...

— Niechaj się panu przyśni wiosna... — powtórzył w duchu jej życzenie. — Dlaczego akurat „przyśni”? — zaczął się zastanawiać. — Czy w tem znaczeniu — jak młodość starcom, lub jak helocie — wolność? Niechaj się panu przyśni wiosna... Ciekawe! Za pomocą tarniny...

Rozważał chwilę to wieloznaczne powiedzenie, choć w gruncie rzeczy było wyrzeczone jak efektowny frazes. Kołował jednak wokół niego i szukał rzeczywistego śladu znaczenia, jakby mu na tem istotnie zależało.

Leżąca przed nim tarnina jęła przez swą wędzną woń nasuwać niby odrębne myśli, niosące się kędyś w zamiejskie pola, a jednak spokrewnione — bo, pośród łąk wizyjnych, przyłasków i niw świeżych, które zbudziła wiosna,

tam kędy zieleni kwitło i tarnina, tam, jak świeżona bańka — ukazywała się w igrasce postać uroczej jego divy, goniąca płochą niby światełko rzucane lustrem po ogrodzie, brała się z powstającą tęsknotą, z rojami myśli i błyskotliwych wspomnień... dopóki nie przysłoniła tego chaotycznego mirażu chmura ockniętych zasie wyrzutów, pełna przerażających larw zmarnowanego ćwierćwiecza...

Redaktor przymknął oczy, jakby w obawie aby ta czarna chmura nie weszła przez źrenice w głąb jego duszy zatruwanej. Skurczył się w sobie i ucieszył, czekając aż przejdzie mimo i rozweje się mniej groźna.

Zbudził go dopiero kawiarniany płatniczy, oznajmując z sztuczną grzecznością, że — zamykają lokal. Redaktor zwłóknął się niechętnie i, uściwszy rachunek, z wiązką tarniny w ręce wyszedł ospale na ulicę.

Zgarbiony, jakby go gniołło ciężkie bizemle, skierował kroki w stronę swego starokawalerskiego mieszkania, mieszczącego się naprzeciw redakcyi. Odczuł teraz szczególnie wyraziście i z dziwnym żalem, że wejście w chłodną pustkę pokoju, sam, jak pustelnik, że nie powita go żona, nie ucałuje śpiącego w łóżku dziecka i nikt doń nie przemówi z urokiem rodzinnego ogniska...

Coś mu ścisnęło serce bolesnym kurczem, wywołując na usta jakieś przekleśne słowo. Odrzucił precz tarninę, alicy po kilku krokach zawahał się, wrócił z powrotem, jakby współczuciem przynaglony i podniósł z bruku kwieciną wiązkę. Zimuchnął z niej kurz uliczny, poczem do usi przybliżył w przedziwnym rozrzwinięciu.

— Biedoto... — wyszeptał do niej w duchu. — Dam ci flakonik w postaci szklanki wody na umywalni, którą rdza zżera... Łudź się, że — żyjesz...

Opuścił głowę jeszcze niżej i włóknął się pelen smutku.

## II.

Kiedy koło południa redaktor Golefi wchodził do redakcyi, zastał w poczekalni młodzieńca o bujnej blond czuprynie i rzadko spotykanych jasno-niebieskich oczach. Nieznajomy skromnie ale chędogo odziany, z plikiem papierów pod pazuchą, powstał z ławeczki i skłonił się z przesadną niemal uprzejmością.

— Pan do redakcyi? Do kogo? — zapytał Golefi i przystanął.

— Ja.. chciałbym się zobaczyć z panem redaktorem Goleniem... Mówiono mi, że ma za chwilę nadejść — odrzekł nieśmiało młodzieńiec, podobny z niezwykle świeżej twarzy do jasnego dziewczęcia. Kiedy otworzył usta zdawało się, że jego głos uwity z aksamitu i przejaśniony błękitem cudnych oczu.

— Ze mną? Czem mogę panu służyć? Młodzieniec powtórzył ukłon.

— Nie wiedziałem, że mam ten zaszczyt...

— O co wlec idzie? — przerwał redaktor zmieszanie interesanta.

— Ja, proszę pana redaktora, przyniosłem właśnie sonety... sonety o wiosnie... — mówił z tą samą nieśmiałością, zapłoniony niby dziewczynka.

Redaktor ruszył niecierpliwie ramionami.

— Sonety? — powtórzył niedbale uśmiechnięty.

— Tak, sonety o wiosnie...

— Co, co?

Widać było, że to niespodziewane zapytanie zatruwożyło poetę.

— No... do pańskiego pisma, jeżeli pan redaktor uzna je za odpowiednie i raczy przyjąć... Pisałem je pod wpływem wiosny wczoraj... przedwczoraj... Dziś rano ułożyłem sonet o wschodzie wiosennego słońca... Zdaje mi się, że są to piękne wiersze, nie gorsze, jakie czasem drukują...

Redaktor znów się uśmiechnął, tym razem jakby z odcieniem politowania.

— Wiersze, sonety... Dlaczego pan nie pisze prozą?

Młodzian podniósł na swą wyrocznię błękitne oczy, z których patrzyło jakieś pełne zapytań rozczarowanie.

— Bo jedynie poezya zawiadnęła mną zupełnie, że wprost po nocach mi się śni... wszędzie ją widzę, zewsząd przemawia do mnie... Żadna proza nie dorówna poezyi, ach — żadna! — odrzekł z zapalem. — Zresztą do prozy nie uczuwam jakoś pociągu... — dodał po chwili.

(Dokoliczenie nastąpi).



# Kronika tygodniowa.

Ponieważ karnawał zbliża się powoli ku kofci, niewiadomo właściwie, czem się zająć, nim czy polityką. Sytuacja, która wydawała się być jeszcze tydzień temu bardzo niejasną, a wskazywał to gwałtowny spadek naszej marki i wzrost wartości dolara, osiągając pewnego pięknego poranku wysokość czterdziestu tysięcy marek, jakoś się wyklarowała, wprawdzie nie zupełnie, ale w każdym razie o tyle, iż naszych strachajłów nie przeraża już tak bardzo zarządzony przez władze wojskowe spis kilku roczników poborowych, podyktowany bynajmniej nie przygotowaniami wojennymi, lecz koniecznością posiadania ewidencji wszystkich tych, którzy obowiązani są w danym wypadku do służby wojskowej. Takiego spisu dotąd nie było, trzeba się więc było o niego postarać, gdy zaś powzięto postanowienie, nikt jeszcze nawet nie przypuszczał, że Francuzi wleżą w Ruhre, a Litwinom zachce się Kłajpedy.

Te dwa ostatnie wydarzenia, t. j. Ruhra i Kłajpeda, dały naszym knajpkowym politykom sporo tematu do daleko idących wniosków i przypuszczeń, kombinacje ich nie sprawdziły się jednak, choć nie można zaprzeczyć, że atmosfera polityczna nie jest zupełnie czysta, a między Ruhra i Kłajpedą istnieje pewien związek. Niejednokrotnie już zaznaczaliśmy, że Litwa Kowieńska to folwark niemiecki, nie zdziwiło też nikogo, że Litwini ruszyli się przeciw Kłajpedzie właśnie w chwili, gdy Francja wprowadziła w czyn przymusowe zarządzenia przeciw Niemcom. Sprawozdania z Kłajpedy stwierdzają, że rzekomi powstańcy, atakujący to miasto, zostające pod rządami francuskiego komisarza, uzbrojeni byli w karabiny niemieckie i obficie zaopatrzeni w niemieckie marki.

Najlepiej na tem politycznym wydarzeniu wyszli oczywiście nasi lichwiarze walutowi, umiejący skorzystać z każdej sposobności, aby przytem upiec swą pieczeń. Podskoczył też dolar na czterdzieści tysięcy marek, w miłej zgodzie z waluciarzami podnieśli natychmiast ceny wszyscy kupcy i przemysłowcy, a poczciwi rzeźnicy i masarze już od wczesnego ranka czekali na otwarcie bram magistratu, aby podać do zatwierdzenia nowy, podwyższony cennik, jak się chwaliłi „dopiero pierwszy raz w tym tygodniu”.

W ubiegłym tygodniu wydarzył się też fakt, od lat kilku w Krakowie niebywały, mianowicie rzeźnicy zgodzili się na niżenie cen mięsa o kilkadziesiąt marek na kilogramie, dziś jednak wstydzą się już swej słabości i obiecują solennie poprawę, t. j. nową podwyżkę, jest bowiem dla nich solą w oku, iż równocześnie podskoczyły ceny pieczywa. Wprawdzie w okresie, w którym dolar notowano czterdzieści tysięcy marek nikt żadnych transakcji nie przeprowadzał, bo krótki czas na to nie pozwalał, wszyscy jednak sprzedający przy swoich kalkulacjach uwzględniają tę gwałtowną wyżkę i stale się na nią powołują.

Korzystnie na uspokojenie opinii publicznej podziałało *exposé* prezydenta Sikorskiego, po niekąd także i zjazd ministrów skarbu emerytów i ich obrady. Wynikiem ich było ogłoszenie całego szeregu „tez”, w które ma wierzyć każdy, komu naprawa Rzeczypospolitej leży na sercu i wyuczyć się ich na pamięć. Oby jednak nie spotkał je taki los, jak owe słynne dziesięć przykazań krakowskiego pana fizyka, kończących się wezwaniem: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu”. Rozlepiano je wszędzie, spotykało się z niemi w wozach tramwajowych, stan zdrowotności miasta Krakowa nie poprawił się przecież, co stwierdzić może pan Wolny i jego zawodowi koledzy, narzekający wówczas, gdy się owe przykazania pojawiły, że fizyka miejski działa na ich szkodę. Jeden tylko dobry skutek był widoczny, nie upadliśmy na duchu, choć przeciwności z każdym dniem się mnożyły, a władze sanitarne nie znalazły środka na ich gruntowne wylepienie.

Wprawdzie tezy ministrów emerytów nie kończą się tak pięknym i czulem wezwaniem, jak owe przykazania, łatwo jednak może je spotkać taki sam los, t. j., zostaną wprawdzie wydrukowane, rozesłane i rozlepione, ale też i na tem koniec, gdyż ogół tak się będzie do nich sto-

sować i tak je przestrzegać, jak ustawy o zakazie sprzedaży alkoholu w niedziele i święta. Gdy jej nie było, widywało się od czasu do czasu „rozmarzonych” obywateli obojga płci, ale nie w takiej liczbie, jak obecnie i to tylko w dni świąteczne.

Jako zadatek lepszej przyszłości otrzymaliśmy narazie nowego ministra skarbu w osobie p. Władysława Grabskiego. Nie jest to żaden nowy nabytek, pan Grabski zasiadał już bowiem poprzednio na fotelu ministra finansów, których do stajenki warszawskiej prowadziła nie gwiazda ze Wschodu, ale zaćmienie naszej marki. On to ułatwił sprawę porozumienia się między Polską a Czechami o Śląsk Cieszyński, zrzekając się go na rzecz „bratniego narodu” podczas zjazdu w Spaa. Robiono mu wówczas z tego powodu zarzuty, a jego ówczesną ustępliwość tłumaczyć może i musi poniekąd położenie bez wyjścia, w jakim się Polska w przededniu najazdu bolszewickiego znajdowała. Polityka finansowa, jaką prowadził w ciągu swojego urzędowania, nie różniła się niczem od jego poprzedników i następców. I on, obejmując urzędowanie, wytykał błędy tych, którzy przed nim dzierżyli tekę skarbu, obiecywał naprawę istniejących stosunków i w dalszym ciągu fluktuacji banknoty w przyspieszonym tempie i na niego także narzekał, obejmujący po nim spuściznę, a deficyt państwowy rósł sobie dalej i ciągle rośnie. Ta jest jedynie różnica między obecnym panem Władysławem Grabskim, a ówczesnym, że ten jest politycznie bezpartyjny, za takiego się przynajmniej ogłasza, to tamten był narodowym demokratą. To też, gdy ówczesnego pana Grabskiego zwalczała namiętnie lewica, do obecnego odnosi się dość sympatycznie, o czem może się przekonać każdy, czytujący pilnie *Naprzód*.

Wybór pana Grabskiego uważamy choćby tylko z tego powodu za trafny, że w jednej z poprzednich kronik nazwaliśmy nasze stosunki ekonomiczne i finansowe „stajnią Augiaszową”, do której wyczyszczenia powołany jest przede wszystkim minister skarbu. A nie trzeba się zbyt znać na gospodarstwie, aby wiedzieć, że przy czyszczeniu stajni niezbędne są widły i grabie, nawet żelazna miośła zawodzi, zwłaszcza, jeśli manipulowanie nią utrudniają ci sami, co ją czyszczącemu oddali w ręce, jak się o tem sam na sobie miał sposobność przekonać minister Michalski.

W dzisiejszych warunkach na stanowisko ministra skarbu najodpowiedniejszym jest astronom, nie dlatego jednak, iż umie bujać duchem swym w przestworzach, ale z tego powodu, iż nie jest mu obcą manipulacja rachunkowa cyframi, mającemi po kilkanaście zer w swym ogonku, a budżet nasz państwowy obraca się właśnie w takich granicach, skoro sam deficyt coroczny oblicza się na miliardy marek. Astro-nom powiada sobie, że to głupstwo, jeśli pomyli się o kilka milionów kilometrów lub kilka tysięcy lat, to samo powtarza sobie minister skarbu, widząc przy końcu roku, że deficyt spodziewany w wysokości kilku lub kilkunastu miliardów, w samej rzeczy wynosi kilkaset.

Drożyzna, niepewność jutra i t. p. przyjemności, jakie się stały udziałem obywateli samodzielnego i zjednoczonego Polski nie wpływają bynajmniej, na zmniejszenie karnawałowej ochofy, rosnącej mniej więcej w tym samym stosunku, jak spada wartość marki polskiej. Jedni bawią się, bo mają na to, gdyż każda wyżka walutowa napędza im miliony do kieszeni, drudzy w szale zabawy szukają zapomnienia i zawsze znajdują na to fundusze, ci zaś trzeci, których nie stać na to i muszą siedzieć w domu „przy rodzinnem zimnie” są tak nieliczni, iż nie mogą być brani w rachubę. Zabawy urządza się u nas zresztą na tak szlachetne i podniosłe cele, że trzeba być poprostu człowiekiem bez serca, aby nie dorzucić swego wdowiego grosza, bez względu na to czy oddziedziczony, zarobiony czy pożyczony. Inna rzecz, jaką korzyść odnoszą owe szlachetne cele, dla których urządza się zabawy karnawałowe. Według skrupulatnych obliczeń, dokonanych przez pewnego specjalistę statystyka, wynika, że, jeśli jakaś rodzina wyda na koszt wyprawy balowej milion marek, co najmniej dwadzieścia pięć marek z tego dostaje się cierpiącym i potrzebującym na otarcie łez itd., reszta zaś dzieli się paskarze miejscowi i zagranica, dostarczająca nam bardzo chętnie wszelkich artykułów zbytku. Na tem korzysta także i kraj, cła bowiem płyną do jego kasy, kto zatem się bawi w karnawale i wydaje więcej na-

wet niż może nie powinien być piętnowany, jako szkodnik społeczny i podjadek ogólnego dobrobytu, przeciwnie jest on dobrodziejem swoich i obcych, przyczyniając się także do wzmocnienia naszych stosunków z zagranicą.

Tegoroczny karnawał jest krótszy o całe czternaście dni od poprzedniego, nie powinien się zatem nikt dziwić, że i zabawa jest bardzo ożywiona, a w sali Starego Teatru co wieczór jest rojno i gwarno, jak za najlepszych czasów. Lata wojenne przypominają chyba jedynie wystrzały z butelek szampańowych, często jak zwykle strzały niebezpieczne dla zdrowia, ale nie tak przykre. Tegoroczny karnawał odznacza się także i tem, że łaskawie pozwolono powrócić dawnym popularnym tańcom, w ubiegłym roku skazanym najzupełniej na wygnanie i tu i ówdzie spotyka się w programach z zapowiedzią, że oprócz nowoczesnych łamańców będzie także polonez, mazur i t. d.

Przeciętny umysłowo pracujący inteligent, mający zamiar wraz z rodziną wziąć udział obecnie w jakiejś zabawie publicznej, mógłby sobie pozwolić i to najwyżej na redutę „Rwiera”, na której można się zjawić w zwykłym kąpielowym kostymie, jakiego używało się dawniej, gdy fale Wisły były dostępne dla mieszkańców miasta Krakowa lub na balu futurystów, gdzie wskazanem jest jawienie się w kostymie „przyszłości”, t. j. zupełnie bez ubrania. Jeśli kto ma córki na wydaniu i sądzi, że się ich pozbędzie na obecnych balach, myli się grubo, spęd bowiem bywa bardzo liczny, a popyt bardzo słaby. Wchodzą na targowicy małżeńskiej w grę również ceny maksymalne, kawaler, decydujący się na pozbycie się swej wolności każe sobie za to płacić grubymi milionami. A panienki starzeją się powoli i w niedługim już czasie grozi nam poważne niebezpieczeństwo, że liczba sufrażysiek wzmoże się do tego stopnia, iż odbije się to fatalnie na porządku społecznym, jak to miało miejsce w Anglii, gdy pani Pankhurst była jeszcze *in floribus* jedynym środkiem zaradczym mogłoby być wprowadzenie u nas przymusowych małżeństw, co jednak ze względu na ciągle ścieranie się lewicy z prawicą wydaje się być nie do przeprowadzenia. Wystarczy, aby z jednej z tych stron wyszedł wniosek, a druga będzie go zwalczać, ile sił starczy. Cała w tem nadzieja, że zdobędziemy się raz nareszcie na silną i trwałą większość parlamentarną, zdolną do rządzenia, a wówczas będziemy mieć i porządek wewnątrz kraju, dobrobyt, znaczenie za granicą i, co najważniejsze, pozbędziemy się starych panien ku ich i swojej radości.

Dokładne sprawozdanie z ruchu karnawałowego odłożyć musimy na czas wielkopostny, gdy nasz sprawozdawca balowy wróci do normalnego trybu życia, jak obecnie jest on bowiem tak rozfrzesiony, że ani rusz za sięgnąć u niego jakichś informacji. Ciągłe w ruchu, w tym miesiącu przedłożył już redakcji rachunek swych nadzwyczajnych wydatków i dyet, a na pierwszym miejscu figuruje „kilometrowe” za prze-taficzenie rzystu dwudziestu sześciu kilometrów, co wykazał krokomierzem, z którym się nigdy nie rozstaje. Dopiero popielcowy śledź doprowadzi go do równowagi moralnej i fizycznej i wówczas będzie się mógł podzielić z nami garścią swych spostrzeżeń. Kronikarz miał tylko jeden bal w ścisłym kółku rodzinnym i to w sam dzień Nowego roku, gdy przyniósł Weronice miesięczną pensję, jak się pokazało z obliczeń, starcząca zaledwie na dziesięć dni i to przy zaprowadzeniu najdalej idących oszczędności.





lat jeden z głównych filarów instytucji kolejowej w b. państwie austr., orędownik polskiego kolejnictwa w chwilach niejednokrotnie ciężkich i przełomowych. Małopolska zawdzięcza mu piątą część swej sieci kolejowej. Niestrudzonymi zabiegami wobec zawsze nieprzychylnego odnoszenia się władz rządowych do rozwoju kolejnictwa polskiego, wywalczą niemal każdy kilometr nowych polskich szlaków kolejowych. Geniuszem twórczym i olbrzymią wiedzą inżynierską rozwiązywał najtrudniejsze problemy techniczne budowy kolei; pod jego światłem kierownictwem wychował się cały zastęp dzielnych inżynierów, którzy dzisiaj serdecznie oplakują niepowetowaną stratę ukochanego swego przewodnika.

S. p. inż. Stanisław Kosiński urodził się w Borku Szlacheckim, w Galicyi, w r. 1847. Szkołę realną ukończył w Krakowie, następnie był słuchaczem na niemieckiej politechnice w Pradze. Po odbytych studiach inżynierskich, pracuje przy budowie kolei w Niemczech. W r. 1881 wstępuje do służby w kolejnictwie austriackim, jako starszy inżynier. Czynny jest przy budowie kolei Stryj-Beskid, kieruje następnie budową szlaku Stanisławów-Woronienka, przy której to budowie rozkwita pełnym światłem jego geniusz inżynierski.



Grób z przed 33 stuleci: Wnętrze grobu Faraona Tutankhamona.



Jeden z ostatnich: Śp. Władysław Rawicz Zapalowski, uczestnik powstania styczniowego.



Komunistyczni tyrani: Trocki przemawiający na kongresie sowietów w Moskwie.



Komunistyczni tyrani: Bela Kun (x) w rozmowie z komunistami węgierskimi w Moskwie.

## Jeden z ostatnich.

Przerzedzają się coraz bardziej szeregi tych cichych bohaterów, którzy lat temu właśnie sześćdziesiąt z bronią w rękę wystąpili do walki o niepodległość Ojczyzny. Dziś prawie już na palcach policzyć ich można, ostatnie chwile życia ozłaca im myśl, że kości swe złożą w wolnej i niepodległej Polsce, że danem im było doczekać tej radosnej chwili, którą widzieć pragnęli przed przeszło półwiekiem.

W dniu 22-go stycznia b. r. złożono w Warszawie na wieczny spoczynek zwłoki jednego z nich, ś. p. Władysława Rawicza Zapalowskiego, osobistości powszechnie znanej i szanowanej w naszej stolicy.

Urodzony w r. 1840 na Kantoryi sandomierskiej pod Żarnowem, syn Jana, majora wojsk polskich z r. 1831. ozdobionego złotym orderem *Virtuti Militari* za bitwę pod Ostrołęką, następnie ziemianina, ś. p. Władysław po ukończeniu gimnazjum piotrkowskiego, gdzie kolegował ze Strumem i Pawińskim, osiadł także na roli W roku 1863 wziął czynny udział w powstaniu narodowym, za co zesłany na Syberję, przebywał tam do r. 1868. Po powrocie z wygnania pracował dalej na roli, ostatnie dziesiątki lat spędził w Warszawie, pracując w spółce akcyjnej „Wojciechów”, biorąc nadto żywy udział w życiu kulturalnym i społecznym.



Nie obcą mu też była i praca na niwie literackiej, piórem swem zasilając *Wiek*, *Tygodnik Ilustrowany*, *Ziarno*, *Goniec* itd., spisał nadto pamiętniki swoje z czasów powstania i pobytu na Syberji, wydane w Wilnie w dwu tomach pod redakcją H. Mościckiego.

W latach budzenia się Ojczyzny naszej do nowego życia występował śp. Zapałowski bardzo często publicznie, przemawiając imieniem uczestników walk z r. 1863-4. Rząd oswobodzonej Polski odznaczył go orderem *Polonia Restituta*.

Śp. Zapałowski był rodzonym bratem żony znanego historyka, śp. Juliana Bartoszewicza.

## Grób z przed 33 stuleci.

Jak już donieśliśmy, w Egipcie dokonano niezwykle cennego odkrycia grobu Faraona Tutankhamona w Tebach. W końcu roku ubiegłego słynny archeolog, Mr. Howard Carter w towarzystwie finansującego jego archeologiczne prace lorda Carnarvon, otworzył zapieczętowane i pilnie do tej chwili przed nieproszonymi gośćmi strzeżone podziemia, w których mieści się najbogatsze znalezisko egiptologii ostatnich lat. Odkrycie to, owoc żmudnej i niestrudzonej szesnastoletniej pracy, rzuciło wiele światła na mało znany okres czasu, piętnaste stulecie przed Chrystusem i na miasto Tel-el-Amarna, założone przez pierwszego heretyckiego Faraona Amenhotepa IV.

Przez szesnaście lat Mr. Howard Carter prowadził roboty ziemne na miejscu dawnych Teb na zachodnim brzegu Nilu. Od czasu do czasu natrafiano na drobne a zajmujące zabytki historyczne, ale nigdy na większą lub ważną rzecz. Chwilami zniechęcenie ogarniało już archeologów, ale Mr. Carter zawierzał swemu instynktowi archeologa i zawzięcie kierował dalej pracą. Wytrwałość ta została teraz wynagrodzona odkryciem pod dawną nekropolią Teb, tuż pod grobem Ramzesa VI, czegoś, co powierzchownie wyglądało na skrytkę. Ubezpieczony przeciw niepożądanym odwiedzinom, Mr. Carter zatelegrafował natychmiast do Anglii po lorda Carnarvon, który bezzwłocznie wyjechał do Egiptu.

Po jego przybyciu na miejsce przystąpiono do otwarcia skrytki. Zdjęto znajdujące się na zewnętrznych drzwiach pieczęcie egipskie, uprzątnięto 16 stopni prowadzących w głąb, a w korytarzyku na jakich 25 stóp długim znaleziono drugie drzwi zapieczętowane jak pierwsze i jak pierwsze noszące ślady powtórnego zamykania.

Przedostawszy się z trudem przez te drugie drzwi, przybysze oczom wierzyć nie chcieli. Tuż przy drzwiach stały trzy wspaniałe leżaki tronowe, całe złożone z prześlicznymi rzeźbami i głowami Tyfona, Hatora i Iwa. Na nich łoża misternie rzeźbione, złożone, wykładane kością słoniową i półszlachetnymi kamieniami. Dalej niezliczona ilość skrzyń i skrzynek artystycznej roboty. Jedna z tych skrzyń, wykładana hebanem i kością słoniową, zawierała złożone napisy; inna w swym wnętrzu kryła emblematy świata podziemnego; na trzeciej, zawierającej szaty królewskie bogato haftowane kamieniami i złote sandały, wymalowane były sceny myśliwskie. Stołek hebanowy wykładany kością, ma delikatnie rzeźbione nóżki kształtu kaczych nóg. Na jednym z leżaków znajdował się uroczystry tron króla Tutankhamona, prawdopodobnie jedno z najpiękniejszych dotąd odkrytych dzieł sztuki. Grubo złożone krzesło inkrustowane turkusami, lapis lazuli i innymi półszlachetnymi kamieniami, ma na oparciu portrety pary królewskiej. Dwie naturalnej wielkości statuy asfaltowane króla ukazują delikatne rysy; nogi i ręce są artystycznie rzeźbione, a oczy ze szkła. Posągi te, złotem zdobione, trzymają złote laski i berła, a korony wysadzone są klejnotami. Znaleziono cztery wozy inkrustowane złotem i kamieniami, laski królewskie z misternie rzeźbionymi złotymi głowami, stołek, którego podpory stanowią rzeźbione figury Azyatów, świadczące o tem, że Faraon kładł stopę na karkach zwyciężonych. Obok złożonych instrumentów muzycznych, manekin na suknie i peruki królewskie, dalej wazy alabastrowe w jednym kawałku, prześliczne niebieskie fajansy egipskie i wielka ilość wypaproszonych kaczek i dziczyny, przystawki grobowe, jakie pozostawiano zawsze zmarłym w Egipcie, wieńce laurowe i liczne zwoje papyrusów.

Poza tą izbą podziemną znajduje się druga, tak bezładnie przepełniona kosztownymi przedmiotami, spiętrzonemi skrzyniami, łożami i wazami aż po powałę, że trudno było objąć okiem, co właściwie zawiera. Trzecia izba, do której jeszcze nie



Żądania Francji: Minister Barthou, prezes Komisji Reparacyjnej.

dotarło, a której strzegą dwa posągi króla Tutankhamona, może zawiera mumię tego króla. Ale to pokaże się w krótkim czasie.

Archeologowie, sądząc po dotychczasowej wartości i po śladach późniejszych odwiedzin, przypuszczają, że są to paraferalia pogrzebowe wspomnianego króla, które podczas późniejszej

epoki przeniesiono z pierwotnego grobu w to miejsce, bezpieczniejsze od złodziei i rabusiów cmentarnych, znanych już w starym Egipcie. W każdym razie jest to odkrycie pierwszorzędne dla wszystkich badaczy przeszłości Egiptu. Przyczyni się ono w znacznej mierze do wyjaśnienia różnych ciemnych jeszcze punktów z czasów rządów osiemnastej dynastji. Rządy Tutankhamona, przypadające na lata 1358—1350 przed Chrystusem, odznaczają się powrotem do pierwotnej religji czci Amona od religji heretyckiej, wprowadzonej przez Amenhotepa VI, a uznającej jedynie kult słońca. Sceny na odkrytych sprzętach ukazują nam króla w okresie obu religji i też raz nazywa się Tutankhaton, czyli „Żywy obraz Atena“ (słońca), a drugi raz Tutankhamon, czyli „Żywy obraz Amona“. O samym królu, oprócz faktu, że był owym kontrreformatorem, mało wiadomo. Twierdzą, że był synem Amenhetepa III-go i że pojął za żonę córkę owego faraona Akhenatena-Amenhotepa VI, który chciał zaprowadzić jedynobóstwo w wyłącznej czci dla słońca i który popierał artystyczny rozwój w kraju i zbudował Tel-el-Amarnę.

Gdy odcyfrowane będą owe zwoje papyrusów, znalezionych w tym grobie, gdy światło dzienne pozwoli odczytać hieroglify i wszelkie napisy, odżyje przed nami może tajemnicza historia z przed 33 wieków.

## Komunistyczni tyrani.

Przewrót bolszewicki w Rosji, który miał zamienić państwo carów na „raj wolności“, przyniósł ludowi rosyjskiemu tylko nową jeszcze okrutniejszą tyranję. Carat jakby tylko odwrócił się do góry nogami, zmienili się tyrani, ale pozostał ten sam duch ucisku i niewoli, spotęgowany tylko dzikością dzisiejszych władców Rosji. Dawnych



Oficyalna fotografia „pary cesarskiej z Doorn“: Wilhelmi Hohenzollern z małżonką Herminą, według zdjęcia, dokonanego za jego przyzwoleniem w listopadzie 1922.

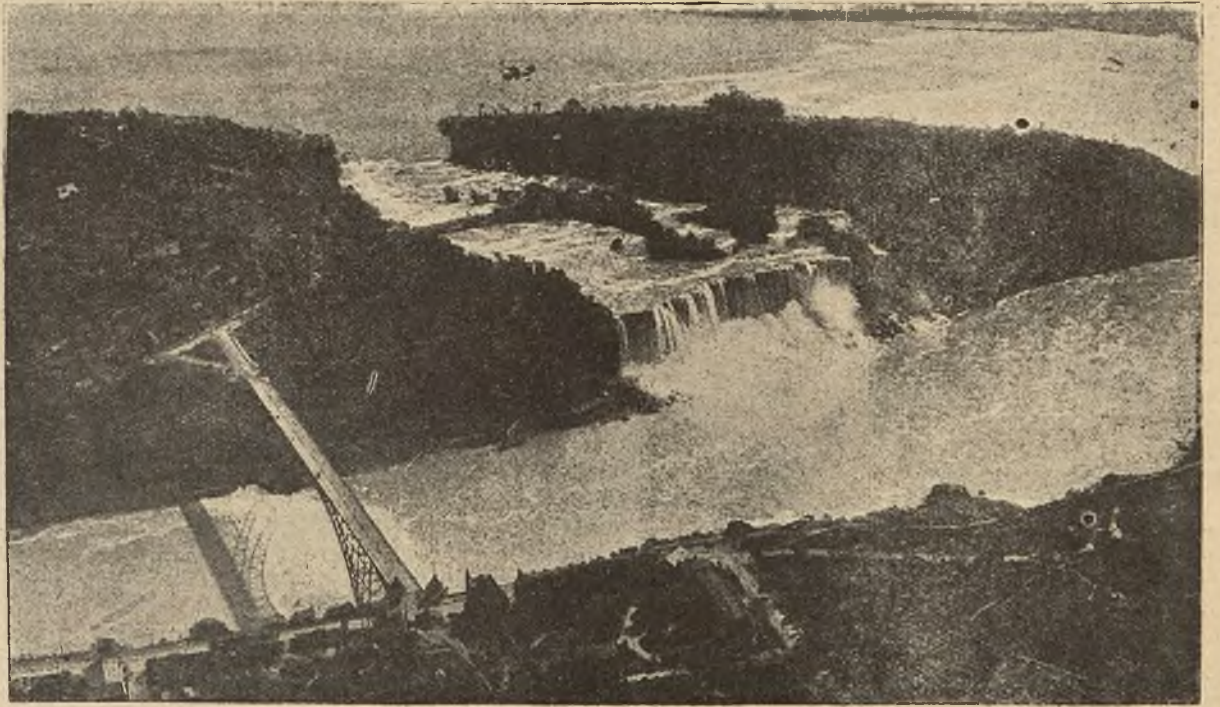


czynowników zastąpili komisarze, a ochronę — czerezwyczajka... Lud tymczasem ginie z głodu i nędzy, bo całe życie gospodarcze państwa zostało zrujnowane przez fanatycznych zaślepieńców. Naturalnie powstała nowa „arystokracja“ bolszewicka, której dobrze się powodzi. Cała armia nowych czynowników bolszewickich bawi się i używa, choć wśród ludu szerzy się nawet ludożerstwo. Na ich czele stoi faktyczny dyktator Trocki, który wobec choroby Lenina rządzi dziś niepodzielnie Rosją. Przejął się on doskonale rolą cara. Z wielką paradą podróżuje i urządza rewie wojskowe. Bolszewicy robią jednak komedię republiki i demokracji, od czasu do czasu zwołując sowieckie zjazdy, na których nowi tyrani występują w roli „trybunów ludu“, wygłaszając demagogiczne mowy, nie licujące wcale z ich działalnością. Na jednej z naszych fotografii widzimy właśnie bolszewickiego cara Rosji Trockiego na trybunie w Moskwie.

Druga fotografia przedstawia przebywającego obecnie w Moskwie niefortunnego naśladowcę Trockiego na Węgrzech — Belę Kuna. Naród węgierski, bardziej uświadomiony, niedługo znośli jarzmo bolszewickiego kata. Bolszewickich morderców spotkała na Węgrzech zasłużona kara, a ich wódz Bela Kun znalazł gościnę u swych towarzyszy moskiewskich.

## Żądania Francji.

Okupacja Zagłębia Ruhry przez Francję wywołała wśród Niemców nową furę wściekłości i nowe pogroźki. Jest to najlepszym dowodem, że niczego się oni nie nauczyli, że żyje wśród nich dawna buta pruska. Bo czegoż żąda Francja.



Niagara z lotu ptaka: Najnowsze zdjęcie fotograficzne wodospadu, dokonane z samolotu.

## Oficyalna fotografia „pary cesarskiej z Doorn“.

W miniaturowym państwie holenderskiem byłego cesarza niemieckiego, w Doorn, panuje podobno ogromne wzburzenie z powodu pojawienia się w prasie światowej w ostatnich czasach zdjęć fotograficznych, z których kilka i my reproduko-

waliśmy w naszym piśmie, a których dokonano bez zezwolenia „jego cesarskiej mości“. Jak już poprzednio wspominaliśmy, praktyczny wygnaniec z Doorn sprzedał prawo publikowania swych podobizn za grube tysiące dolarów pewnej amerykańskiej firmie, dotknęło go też boleśnie, że ktoś inny, nie opłaciwszy się mu należycie, korzysta z nieprzysługujących mu prerogatyw.

Podnosi to obecnie prasa zagraniczna, podając równocześnie „jedyną autentyczną podobiznę młodej pary“, sporządzoną w listopadzie 1922 przez wyżej wzmiankowaną firmę amerykańską, dodając równocześnie, że prawo własności nabyć miała nie za dziesięć tysięcy dolarów, jak przedtem twierdzono, lecz za... dwa miliony.

Niedyskrecja fotografów niemile dotknęła „pułstelnika z Doorn“, chcącego dziś uchodzić za zwolennika używania prostych dróg w życiu, których sam nigdy nie uznawał, dając temu wyraz choćby tylko w swych pamiętnikach, gdzie fakty historyczne przekręca według swego widzimisię, byle tylko przedstawić się światu w jak najkorzystniejszym świetle.

## Niagara z lotu ptaka.

Amerykane dumni są z posiadania takiego cudu przyrody, jakim jest wodospad Niagara, reklamują go też po swojemu, nic sobie nie robiąc z tego, że gdzieś tam, w samym centrum Afryki, natrafiono na wodospady, podobno daleko większe i wspanialsze. Konkurencji one Niagarze nie zrobią, dostęp bowiem do nich jest tak utrudniony, że wiele lat jeszcze upłynie, nim żaden wróż Europejczyk odważy się na podjęcie tak niebezpiecznej i kosztownej podróży.

Wodospad Niagary widzieliśmy już w ilustracjach z najrozmaitszych stron, z góry, dołu, bo-



„To, co najważniejsze“ w teatrze lwowskim: Scena z II-go aktu. Fot. M. Müns, Lwów

Wydała ona na wojnę 143 miliardy, ale tę olbrzymią sumę wpisała już na konto strat i nie domaga się z tego tytułu żadnego odszkodowania. Żąda jedynie funduszy na odbudowę departamentów, zniszczonych przez wojska pruskie. Trzeba tu przypomnieć, z jakim barbarzyństwem hordy pruskie niszczyły wszystko na ziemi francuskiej. Rozlokowawszy się w dziesięciu północno-zachodnich departamentach, prowadziły tam piekło zniszczenia wedle celowych wskazówek, udzielanych przez fachowców. Niszczono dosłownie wszystko, nawet studnie i młode drzewka owocowe. Zniszczono przemysł, który tutaj właśnie kwitnął, zniszczono rolnictwo, zniszczono budynki, drogi, mosty. To nie była wojna, lecz wyprawa niszczycielska na wzór Hunnów, tylko obliczona na skalę nieskończenie większą. I właśnie odszkodowania za te potworne zbrodnie Niemcy nie chcą płacić. Próżne były wysiłki Komisji Reparacyjnej, określającej wysokość i terminy spłat. Niemcy ciągle grały na zwłokę, aż wreszcie wyczerpała się cierpliwość Francji, czego nie mogła dokonać w sposób pokojowy Komisja Reparacyjna, tego niewątpliwie dokonają wojska francuskie, okupujące ognisko przemysłu niemieckiego w Zagłębiu Ruhry.



„To, co najważniejsze“ w teatrze lwowskim: Scena z III-go aktu

Fot. M. Müns, Lwów.

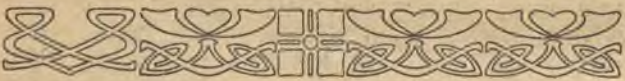


ków, widzieliśmy spadające fale lub zmarznięte, obecnie nadeszła z Ameryki fotografia, przedstawiająca go z lotu ptaka, według zdjęcia fotograficznego, dokonanego z samolotu. Imponująco przedstawia się ta masa wód, spływająca do jeziora Erie ku Ontario, która w drodze swej, tracąc grunt, spada z przerażającym hukiem z prawie pięćdziesięciometrowej wysokości, jest w tem coś demonicznego, urok jednak, jaki dawniej wodospad wywierał, znacznie osłabiono, budując po bokach urządzenia, mające wyzyskać siłę spadu wody dla celów przemysłowych. Amerykanów smuci bardzo jeszcze ta pewność, że nadejdzie kiedyś czas, gdy zniknie zupełnie z powierzchni ziemi, prąd szarpie bowiem stale swe wapienne podłoże, cofając się corocznie o przeszło pół metra, tak, iż kiedyś koryto między obu jeziorami zamieni się w zwykłą równię pochyłą.

## „To, co najważniejsze“ w teatrze lwowskim.

Sztuka Jewreinowa „To, co najważniejsze“, która w Krakowie spotkała się z tak gorącym przyjęciem, obiegła już wszystkie sceny, wszędzie ciesząc się takim samym powodzeniem. Ostatnio wystawiono „To, co najważniejsze“ w Teatrze Wielkim we Lwowie. Jak konstatuje prasa miejscowa, po „Lohengrinie“ (z którego ilustracje zamieściliśmy w poprzednim numerze) jest to jedno z najpiękniejszych i najwyższych stojących przedstawięń na scenie lwowskiej w ostatnich czasach. Zasługa to świetnej reżyserii p. Rasińskiego i pierwszorzędnej jego gry. Rasiński stworzył postać kapitalną i wyposażył ją we wszystko, co może dać duży, niezwykle talent. To też oklaskiwano go owacyjnie. Obok niego tryumfy święcił p. Justian, pełen umiaru artystycznego, szczerzy, tą szczerością, którą daje talent pierwszorzędny.

Z reszty grających wymienić należy pp. Dębicką, Ładosiównę, Rybicką, (ładnie zagrana scena u wróżki i doskonale przeistoczenie z ponurego smutku w szczęśliwe zadowolenie w akcie IV) Hierowskiego, Pelińskiego, Rygię, Lorzyską (dobry typ damy klasowej) Jankowską i Bieleckiego.



## Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukcji ich w naszym piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczeniu w naszym piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnym porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgoni wybitnych osobistości i t.d., przede wszystkim zaś zdjęcia, odnoszące się do sensacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcja „Nowości Ilustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



## Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadesłali rozwiązania wszystkich zagadek.

## Zagadki do nagrody.

### Zgłoszkówka.

Ułożył Janek z nad Narwi.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoszkę, a dowiemy się, co obecnie zajmuje polityków europejskich:

Zakopane, przetarg, migrena, dziecko, Tuła, arena, Lichocki.

### Trójkąt magiczny.

Ułożyła Bronisława S., Wieliczka.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę miejscowości, gdzie ważą się losy światowego pokoju.



Znaczenie wyrazów. 1) Szukany wyraz; 2) imię męskie; 3) miasto nad Dunajem (nazwa słowiańska); 4) bóg rzymski; 5) jedna ze zmian księżyca; 6) grecka litera; 7) samogłoska.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcja nagrodę: **Kalendarz ścienny na rok 1923.**

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 2.

**Rebus:** Stara stolica kraju Kraków Polaka serce białym drogim pociąga ku sobie.

**Zgłoszkówka:** Mustafa Kemal basza.

**Trójkąt magiczny:** Pola, i, toga, a, gama, o, rydz, a, Sara.

### Zadanie do uzupełnienia.

Noga, azot, rota, uran, toga, oset, waga, Idzi, cyna, Zola.

**Trafne rozwiązania nadesłali:** M. Szymańska Warszawa, H. Obst Lwów, K. Górski Kalisz, N. Skulski Biała Podlaska, R. Wang Żywiec, M. Planecka Kraków, A. Rusiński Stanisławów, Br. Szypalska Wieliczka, Cz. Kozłowski Warszawa, Z. Ogrodnik Kołomyja, M. Wagner Toruń, K. Diamand Rzeszów, M. Kurnatowska Kraków, W. Radoszewski Biała, M. Kubicówna Kraków, H. Michalska Kielce, T. Dworak Sandomierz, W. Ostrowski Zakopane, K. Zając Przemyśl, Z. Balicki Poznań, R. Malinowski Katowice, A. Maciejowska Kraków, P. Rydel Jarosław, Z. Zajączkowski Lwów, S. Łapińska Warszawa, B. Osiecki Kraków, M. Waligórski Warszawa, E. Kobierski Łódź.

**Nagrody przez losowanie otrzymali:** 1) N. Skulski, Biała Podlaska (Powieść Gruszeckiego); 2) M. Waligórski, Warszawa (J. Gałuski „Uśmiechy Boga“).

## !! SKUTEK PORĘCZONY !!

Tysiące podziękowań do przejrzenia!

Pełny, piękny, jedyny blust można uzyskać przez użycie pod gwarancją nieszkodliwego Kosm. Dra med. A. RIX'A

## KREM NA PIERSI

W każdym wieku szybki i pewny skutek. Zabieg zewnętrzny. Jedyny krem na piersi. Próbną puszkę Mk. 5.500. — Duża puszkę Mk. 7.500. — Pompadour Creme w puszkach po Mk. 6.000 — Róż w płynie po Mk. 3.500 za flaszkę. Wysyłka bezwarunkowo dyskretna. — Porto Mk. 500 —

## Główny skład REIM

Ska zar. z ogr: adp.

Kraków, Rynek gl. 37.

Odpowiedni rabat dla sprzedających.

**PIANISTKA** poszukuje **MIJSCA W KINIE** albo gra na wieczorach. Zgłoszenia Admin. „Nowości Ilustrowanych“.

## Dr Witold Lipiński

ordynuje w chorobach  
.. skórných ..  
i wenerycznych

Aleja Mickiewicza L. 14.

(róg ulicy Czystej)

od godz. 2 — 5 popoł.

## „DZIATWA POLSKA“

dwutygodnik Ilustrowany.

— Pismo dla dzieci. —

Wychodzi

1 i 15 każdego miesiąca

Adres Redakcyi i Administracyi:  
Kraków, ul. Kazimierza W. 95.

—: Telefon Nr. 479. —:

Księga pamiątkowa

wielkiej wojny

Test do nabycia w Admin. „Nowości Ilustr.“.

## DRUKARNIA D. E. FRIEDLEINA

zaopatrzone jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonuje wszelkie roboty w zakresie drukarstwa wchodzące: broszury, ce-niki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele, i t. p. bardzo starannie po cenach umiarkowanych.

KRAKOW, UL. KAZIM. WIELKIEGO 95 - TEL. Nr. 479.

„KUPUJCIE 8% Pożyczkę Złotą“